



Zapraszamy na kolejny wywiad! Tym razem aktor Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi opowiedział nam m.in. o tym, jak to jest wcielić się w postać Freddiego Mercurego.

Urodził się Pan w Kielcach. To właśnie tam zrodziła się myśl, aby rozpocząć studia na wydziale aktorskim?

Tak, rozpoczęło się od tego, że moja wychowawczyni, nauczycielka języka polskiego, otworzyła kółko teatralne. Powiedziała, że jeśli ktoś zapisze się do tego kółka, będzie miał wyższą ocenę. Natychmiast podniosłem rękę i tak to się zaczęło. Zagrałem Artura w „Tangu” Mrożka, potem Poetę w „Weselu” Wyspiańskiego. Tam mi się to spodobało tak, że postanowiłem zdawać na studia. W Łodzi mnie nie przyjęto, bo miałem złą dykcję, nie wypowiadałem dobrze głoski „ł”. Powiedziałem pani na egzaminie, że nauczę się tej głoski i przyjadę tutaj znowu. Pojechałem do Gdyni i jak zobaczyłem Teatr Muzyczny, który stoi przy morzu, plażę i super klimat, od razu zakochałem się w tym mieście. Dostałem się do Gdyni i tak to się zaczęło. Po dwóch latach

było mi łatwiej dostać się do Akademii Teatralnej. Zdawałem jeszcze raz do Łodzi i do Warszawy. Wybrałem wtedy Warszawę. Przeszedłem wszystkie etapy tu i tu, ale musiałem się w którymś momencie zdecydować. Było o wiele łatwiej, bo po dwóch latach obcowania z przedmiotami, ze sceną na pewno nabywało się już praktykę. Albo jesteś supergeniuszem i wszyscy mówią „nieważne, że nie mówi, nieważne, że nie śpiewa, ma błysk w oku, jest świetny, bierzemy go”.

Spotkałam się kiedyś z wyrażeniem, że szkoła aktorska może „złamać kręgosłup”. Czy wymaga ona całkowitego poświęcenia, nie tylko czasu, ale też i swoich przekonań?

W każdej szkole, jako że przeszedłem trzy szkoły, jest inny system nauczania. Indywidualność własną można łatwo zgubić. Na szczęście dla mnie, mam dosyć mocny charakter, co spowodowało też, że podróżowałem po różnych szkołach, ale to mi umożliwiło zachowanie części siebie. Mówi się tak, że np. po warszawskiej szkole przyjeżdżało dziesięciu Englertów, a po krakowskiej szesnastu Treli, takich różnych klonów znanych aktorów, którzy uczyli w tych szkołach i mieli tak silną osobowość, że narzucali styl grania studentom. Jeżeli jesteś wybitnym indywidualistą, tutaj bez przesady, nie mówię o sobie, to na pewno pomoże Ci się rozwinąć, a w niczym nie przeszkodzi. Im mniejszym jesteś indywidualistą, tym bardziej się ukorzysz przed stylem narzuconym przez innego profesora i tym bardziej w niego wejdiesz, przejmiesz wiele cech. Oczywiście, jeśli to jest dobry profesor i dobry aktor, to Cię nie skrzywdzi. W innym wypadku czasami bywa różnie, niestety.

Był w Panu lęk, że po ukończeniu szkoły nie będzie miał pan przez długi czas propozycji teatralnych czy filmowych?

Nie miałem żadnego lęku, głównie dlatego, że przeszedłem przez kilka szkół. Pracowałem już w teatrach, zagrałem Kordiana, zanim ukończyłem szkołę w Łodzi. Miałem dużo szczęścia do ról filmowych i teatralnych. Można byłoby rzec, że jeszcze w kiepskim spektaklu nie zagrałem. Przynajmniej nie wstydzę się żadnej roli.

A jest taka rola, którą Pan szczególnie zapamiętał?

Na pewno te pierwsze, które były szczególnie mocne – Kordian z dramatu Słowackiego, pierwsza rola filmowa w filmie „Spam” Radosława Hendla, potem druga rola pełnometrażowa-

„Jestem Twój” Mariusza Grzegorzka. To są role, które na pewno odcisnęły piętno.

Jak się pracuje na planie serialu historyczno-wojennego, jakim jest „Czas honoru”?

Świetnie się pracuje na planie „Czasu honoru”, jest cudowna ekipa, ludzie są zgrani, jest dobry temat, rewelacyjny scenariusz, dialogi. Nic dodać, nic ująć.

Grał Pan w tym roku w przedstawieniu Teatru Telewizji pt. „Pamiętnik pani Hanki”. Jak to jest być częścią tak licznej i zarazem świetnej obsady aktorskiej (Wojciech Pokora, Tadeusz Wojtych, Wiktor Zborowski, Danuta Stenka, Magdalena Cielecka, Joachim Lamża, Jacek Koman, Ewa Konstancja Bułhak, Joanna Kulig, Borys Szyc, Antoni Pawlicki, Kamilla Baar czy Modest Ruciński)?

Bardzo się cieszę, że wystąpiłem w tak zwanej „gwiazdorskiej” obsadzie. Z reżyserem, Borysem Lankoszem, pracowałem wcześniej przy „Paradoksie” i widocznie mnie cenił, dlatego wziął mnie do tego spektaklu. Niestety moja postać nie dostała piosenki, bo wtedy obsada już była rozdana. To był mój pierwszy spektakl w Teatr Telewizji, dlatego bardzo jestem wdzięczny Borysowi za zatrudnienie mnie.

Praca z takimi wybitnym reżyserem jak Adam Hanuszkiewicz pomogła Panu w kształtowaniu swojej osobowości scenicznej?

Każdy reżyser, który jest wybitny, pomaga w rozwoju. Jeżeli stara się rozwinąć twoje cechy, a nie je stłamsić, wtedy faktycznie następuje rozwój. Hanuszkiewicz przekazał mi kilka kwestii, które mam nadzieję zabrać ze sobą do grobu. Niektóre z nich wcale nie były przyjemne, natomiast z biegiem czasu okazywały się trafione w punkt. Byli też tacy reżyserowie, którzy starali się mnie za wszelką cenę włożyć w ramy. Potem się okazało, że to nie wychodziło. Na przykład na dwa tygodnie przed premierą reżyser mówił: „Mariusz sorry, puszczam Cię, idź za swoją energią”. I nagle wtedy postać odżywała. Innym sposobem prowadzenia mnie w roli było temperowanie, które spowodowało sprowadzenie mnie do takiej postaci, jaką chciał uzyskać reżyser. W końcu jesteśmy aktorami i mamy się zmieniać. Jedni pracują fizycznie jak DeNiro a inni bardziej psychologicznie jak Al Pacino. Ja staram się korzystać ze wskazówek ich obu.

Wcielenie się w postać Freddiego Mercurego było dla Pana wyzwaniem?

Jest to też rola, tylko mocno fizyczna i śpiewana. W pewnym sensie jest to kalka, bo powtarzam gesty, w sensie fizycznym staram się upodobnić do postaci. Tym razem j to lider grupy, która osiągnęła światową sławę w muzyce. Podejście do tej roli jest naznaczone specyficznością w związku z tym, że to był Queen i to był Freddie, wszyscy wiedzą o co chodzi.

Jeśli musiałby Pan wybierać, serial film czy teatr, jaki byłby Pana wybór?

Każda z tych jednostek dociera do innego adresata. W filmie mamy fabułę, czyli historię do opowiedzenia. W serialu ona jest wydłużona na kilkanaście odcinków. W filmie mamy skrót, dlatego emocje są głębsze. W teatrze znowu mamy więcej czasu, ale za to jesteśmy na żywo. Nie wybrałbym żadnej z tych rzeczy. To kwestia podejścia do roli. Nie chodzi mi o takie zwykłe telenowelowanie, czyli o telenowelę, gdzie bardzo często mówimy o pierdołach, „czy Jadzia wylała mleko, o Jadzia wylała mleko, naprawdę Jadzia wylała mleko?! To niesamowite, dlaczego Jadzia wylała mleko.” Wszystko kończy się na poziomie grdyki, jeżeli chodzi o emocje. W innych zamkniętych serialach, tam gdzie jest po 13 odcinków to już trzeba wejść głębiej w postać. W teatrze wchodzisz na maksa w tę postać, już nie mówiąc o filmie, który jest tu i teraz. Wtedy albo kamera zarejestruje tego prawdziwego człowieka w jednym momencie, albo nie. Lubię wszystko.

W tym zawodzie, jakim jest aktorstwo, powinien istnieć kodeks etyczny?

Oczywiście, powinien on zostać zachowany. To znaczy: starać się nie spóźnić na próbę, być skoncentrowanym, znać tekst, partnerować przede wszystkim. Musi być etos, bo bez niego nastąpiłby chaos. Zazwyczaj tak jest, że jeżeli nie ma etosu pracy, to plan zaczyna się rozpadać. Ja jestem wyznawcą etosu i spraw honorowych, jeśli chodzi o artyzm. To, co się dzieje w naszej głowie i wyobraźni, jest bardzo dalekie od etosu, więc musimy się pilnować. Od tego też jest reżyser, musi pilnować, aby aktor nie odszedł od roli. Są też różne przesady, na przykład, żeby nie wchodzić w prywatnych butach na scenę. Natomiast uważam, że ludzie powinni powiedzieć „nie” reżyserom, producentom, którzy chcą wykorzystać aktora. Jest tak bardzo często i niektórzy dają się wykorzystać. Wiem, że to kosztuje czasami dużo pieniędzy, dach nad głową i brak wyżywienia dla dzieci, ale trzeba starać się jak najmniej iść na kompromisy. Może nie będę miał co zjeść, ale przynajmniej umrę w zgodzie ze sobą. Nikomu nie ujmuję wyborów, bo kiedyś myślałem, że granie w serialu jest czymś fatalnym, a dzisiaj twierdzą, że każdy ma swoje życie i niech decyduje o tym, co chce robić.

Z którym reżyserem marzy się Panu współpraca?

Z takim, który wie, co ze mną zrobić. Oczywiście, jak każdy aktor, chciałbym pracować z największymi reżyserami. Spotkać się z klasyką reżyserów światowych byłoby miło. Czy to kiedyś nastąpi? Mam nadzieję, że tak.

Kto z aktorów, z którymi Pan współpracował wywarł na Panu największe wrażenie?

Pamiętam, że jak mieliśmy mieć pierwsze zajęcia z Januszem Gajosem w Tetrze Studyjnym w Łodzi, wszyscy byli tak podekscytowani, że nie zauważyliśmy, że on stoi od pół godziny na foyer i pije sobie herbatkę. To wywarło na mnie wrażenie, że nikt go nie zauważył, tego właśnie Janusza Gajosa.

Co poradziły Pan młodym ludziom, którzy marzą o karierze aktorskiej?

Nie wierzyć w konkurencję, bo taka nie istnieje, wierzyć w siebie. Przeć do przodu i to wszystko.

Jakie ma Pan plany zawodowe na przyszły rok?

Wpisany przez Wiktoria Sas

poniedziałek, 03 lutego 2014 20:51 - Poprawiony poniedziałek, 03 lutego 2014 21:04

Znowu mi się poszczęściło, bo gram główną rolę w Teatrze Polskim w Szczecinie, w „Operze za trzy grosze”. Jestem z tego bardzo dumny, bo zawsze chciałem to zagrać. Dyrektor czekał na mnie chyba parę lat i tę rolę zaproponował. Zobaczymy, czy będzie następny sezon „Blondynki”. Liczę jeszcze na parę innych niezależnych produkcji. Moje plany to rozwój.